



Antoni Miecznik

O religii
pogańskich Słowian

Armoryka

Antoni Miecznik

O religii pogańskich Słowian

O RELIGII POGAŃSKICH SŁOWIAN

Pogląd ze stanowiska kulturno historycznego.

napisał

M. K.



L w ó w .

Nakładem i drukiem Drukarni Polskiej.

1894.

Seria: BIBLIOTEKA TRADYCJI SŁOWIAŃSKIEJ Nr 2

Redaktor serii: Elżbieta Sarwa
Projekt okładki: Julisz Susak

Reprint niniejszej edycji dzieła
wykonano z egzemplarza
znajdującego się w zbiorach prywatnych

Copyright © 2014 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel +48 15 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.stefa.pl/>

ISBN 978-83-7950-270-7

Z gimnazyów wynoszą uczniowie to przekonanie, że mitologia grecka była religią Greków.

Zwracamy się więc do tych, którzy taką naukę głoszą z tem skromnem zapytaniem, w którym też to autorze, czy to łacińskim, czy greckim, przychodzi wyraz »mitologia« w ten sposób użyty, ażeby znaczył tyle, co religia? W dziełach bowiem, które są dla zwykłych tylko śmiertelników przystępne, wyraz »mitologia« zawsze oznacza tylko »opowiadania bajek«. A jeżeli tak, to na jakiejże podstawie można twierdzić, że mitologia była religią?

Dru ga okoliczność, wzywająca do wielkiego zastanowienia, jest następująca: U ludów chrześcijańskich istnieją nie tylko w każdym narodzie inne wyobrażenia i praktyki religijne, ale spotykamy różnice pod tym względem nawet w różnych warstwach jednego i tego samego narodu. Mimo to, mówi się bardzo słusznie o religii chrześcijańskiej, bo w takim razie zostawia się na boku wszelkie najrozmaitsze praktyki i wyobrażenia, a mówi się tylko o tej jednolitej nauce, którą kościół podaje. A jeżeli kto tej nauki czy nie pojmie, czy ją przekreśli, to kościół tak samo nie odpowiada za to, jak nie odpowiada profesor, że jego naukę każdy uczeń w klasie inaczej przetrawia.

O mitologii Greków i Rzymian napisał Preller bardzo piękne dzieło, które obecnie jest miarodajnem. Kandydat na profesora gimnazjalnego, nasłuchawszy się do syta o tej mitologii przez cały czas swoich studyów gimnazjalnych i uniwersyteckich, przeczytawszy mnóstwo autorów greckich i rzymskich, musi na końcu dobrze jeszcze namęczyć się nad dziełem Prellera, aby zdać egzamin kwalifikacyjny, jeżeli tylko egzaminator jaką wartość kładzie na mitologii. Otóż pytanie zachodzi, gdzie też naród rzymski i grecki miał sposobność nauczyć się tej swojej mitologii, która miała być jego religia, a która obejmuje tyle przeróżnych, obrazowo wypowiedzianych prawd kosmogo-

nicznych, astronomicznych, atmosferycznych etc. etc., jednym słowem, tej zawiłej historii bogów, której dzisiaj kształcący się człowiek tak długo uczyć się musi? W tej gmatwaninie państw i państwerek greckich, gdzie prawie każde miasto stanowiło dla siebie odrębną, polityczną całość, jak mogła istnieć jakaś jedna wiadomość tej mitologii, którą nazywamy religią Greków? Jeżeli uczeni tej nierozwiązanej jeszcze zagadki nie wytłumacza, w takim razie trzeba będzie uwierzyć, że naród grecki i rzymski znał swoją mitologię dla tego, ponieważ się jej nigdy i nigdzie nie uczył.

Zwykle się mówi, że poeci opiewali historie bogów, a naród uczył się religii swojej od swoich poetów. — Jeżeli tylko tyle, to w takim razie mitologia wcale nie jest tem, co nazywamy dzisiaj religią, tylko tem, czem u nas są tak zwane legendy. Jako działające osoby występują w mitologii bogowie, a w legendach Święci, często i sam Pan Jezus, czasem nawet i Bóg Ojciec. Legendy znalazły wyraz w pięknych sztukach: w malarstwie i rzeźbiarstwie, a utwory tych artystów zdobią nasze kościoły. O tych legendach miliony nic nie wiedzą, tysiące znają po kilka legend, a nie ma ani jednego, któremu by te wszystkie legendy były wiadome. Lud modli się z wielkiem nabożeństwem do św. Mikołaja, do św. Barbary etc., ale historii tych Świętych nie zna; słucha jednak z wielkiem zajęciem, co mu lirnicy o tych Świętych śpiewają i nie troszczy się wcale, jeżeli historia tego samego Świętego u innego lirnika całkiem inaczej opiewa. Często nawet można widzieć, jak lud na odpuszcie, otoczywszy lirnika, słuchając historii o Św. Barbarze, łzami się zalewa, a przyszedłszy do domu nic a nic z tej historii nie umie opowiedzieć.

Zupełnie tak samo było i u Greków; i tam lud nie znał historii bogów, ale słuchał pięknych pieśni wielkich poetów swoich, walczących o palmę zwycięstwa, który z nich na cześć boga piękniejsze tany urządzi, i piękniej zaśpiewa. Nikt się tam nie troszczył o to, jeżeli n. p. bóstwo miłości było w jednej pieśni praszczurem wszystkich bogów, podczas kiedy w innej pieśni było to samo bóstwo: nadobną córą Jowisza, a jeszcze w innej pieśni: tej córą psotnym synalkiem. Było więc w tych pieśniach mnóstwo sprzeczności, mnóstwo anachronizmów. To jednak tak samo nikogo nie raziło, jak nas nie razią nasze ko-

lędy, które tem bardziej się podobają i tem przyjemniej się słuchają, im więcej w nich sprzeczności, im więcej anachronizmów.

Ale można słyszeć często mężów bardzo poważnych, mających studyum i egzamina uniwersyteckie, którzy twierdzą, że Grecy w te baśnie poetów o bogach wierzyli, i że ta wiara zastępywała im religię, bo innej religii nie mieli. Tu trzeba przypomnieć na to, co dopiero się powiedziało, że w mitologii jest pełno sprzeczności. Niechżeż więc kto wytłómaczy, jak można w sprzeczności wierzyć? Jeden mówi, że Harpija to pięknowłosa dziewica; drugi, że to żarłoczny ptak, ale gadający jak człowiek; trzeci mówi, że to jest szybkonoga klacz, a jeszcze inny, że to jakaś potwora, straszliwie huczcząca, która człowieka porwie i uniesie gdzieś na zatracenie bez śladu.

I czemuż tutaj uwierzyć? Prawda jest tylko jedną. Jeżeli kto wierzy, że Harpija jest ptakiem, to nie może wierzyć, że ona jest klaczą.

Grecy i Rzymianie nie mieli, bo mieć nie mogli, najmniejszego wyobrażenia o tem, co to znaczy »wierzyć«, i co to jest »wiara« (rozumie się w religijnem słowa znaczeniu). Aby wiara mogła istnieć, tam wprzód musi być dogmat, w który trzeba wierzyć. Gdyby Grecy i Rzymianie w coś wierzyli, to tych, którzy nie wierzą, nazywaliby niedowiarkami, albo niewiernymi; a tych, którzy inaczej wierzą, nazywaliby innowiercami. Tymczasem oni na całym świecie nie znaleźli nigdzie ani niedowiarków, ani innowierców. Nie mogli ich znaleźć, ponieważ nie mieli w swojej mowie żadnego wyrazu, aby oddać te pojęcia: »wierzyć« i »wiara«. Tego zwrotu »ja wierzę w Boga«, po łacinie wyrazić nie można; bo »credo in Deum« to już jest łacina chrześcijańska. Rzymianin mógł tylko powiedzieć: »ja oddaję cześć bogu«.

Żydów nazywano ateistami, ale nie mówiono, że Żydzi nie wierzą w żadnego boga, tylko że Żydzi nie czczą żadnego boga.

Jest to więc bardzo mylne twierdzenie, jeżeli się mówi, że Grecy i Rzymianie wierzyli w bogów. Nie mogli przecież wierzyć, jeżeli nie wiedzieli nawet, co to znaczy »wierzyć« i jeżeli do oddania tego pojęcia wyrazu nie mieli. Oni wiedzieli tylko tyle, że bogowie są i że tym bogom trzeba przynosić ofiarę, aby ich pomoc uzyskać. Szło zaś tylko o to, aby te ofiary sprawowano podług przepisów państwa; każde bowiem

państwo miało swoje własne przepisy. Kiedy król Edyp na tułactwie swoim zaszedł do innego państwa, usiadł przy drodze w jednym gaju, aby odpocząć. Tutaj dowiedział się od przechodnia, że tam siadać nie wolno, gaj bowiem był poświęcony Fumenidom. Uznał więc, że tym bóstwom należy się prześlągalna ofiara, a w tym celu prosił przechodnia tylko o instrukcję, jak trzeba tę ofiarę odprawić, aby była przyjęta. I to była cała religia Greków i Rzymian. Nie dziw więc, że tej religii nigdzie nie uczono, bo nie było czego uczyć. Przecież Edyp nie pytał się, co zacz są te boginie? gdzie się rodziły? kto ich spłodził? jaki ich zakres działania? etc. I z pewnością o takie głupstwa nikt się nigdzie nie pytał. Z takich rzeczy teraz dopiero robi się egzamina.

A cóż dopiero myśleć o tem, co zwykle się twierdzi, jakoby mitologia Homera była za czasów Perikleśa religią Greków! W tem przekonaniu żyją wszyscy ukończeni gimnazjaliści. I nie dziw, bo tak ich uczą.

Przecież trzeba rozważyć, że religia tak samo jest pokarmem duszy, jak potrawy są pokarmem ciała. Otóż przypuśćmy, że żyje jeszcze ta pani gospodyni, u której mieszkał dzisiejszy pan profesor w tych czasach, kiedy będąc chłopcem chodził do szkół normalnych. Od tej pani gospodyni dowiedzieliśmy się, że terazniejszy pan profesor żył w owych czasach przeważnie mlekiem, bo to było najulubieńszą wtedy jego potrawą, a na piwo patrzeć się nie mógł. Niech więc teraz każdy rozstrzygnie, czy na podstawie tego niezbitego faktu słuszne byłoby twierdzenie, że i dzisiaj najulubieńszą potrawą pana profesora jest mleko, i że na piwo patrzeć się nie może? Zupełnie to samo, co z pojedynczym człowiekiem, dzieje się z każdym narodem. Każdy naród ma dla ciała i duszy inny pokarm w dzieciństwie, a inny w wieku dojrzałym. Był niezawodnie taki czas, kiedy to cały naród widział w tych różnych przygodach bogów same tylko hymny pochwalne. Przysłuchiwał się bajeczkom tak, jak małe dziecko, które myśli, że piastunka mu same prawdy opowiada. Ale inaczej było za czasów rozkwitu. I tak poeta Aischylus, który walczył pod Marathonem, powiada, że »Zeus jest bogiem jedynym i wszystkim nad wszystkim«. A cokolwiek później poeta Arystofanes, jako jeden z najwybitniejszych przedstawicieli takiej politycznej partii, którą dzisiaj nazywamy klerykałami, wystawia wręcz na pośmiewisko bogów Homerow-

skich w swoich komedjach. W tem każdy, kto ma zdrowe zmysły, powinien widzieć namacalny dowód, że zwolennicy tego Arystofanesa, ówczesni klerykałowie, nie myśleli o takich bogach, co to się biją z żonami, z innymi bogami się kłóca, jedni drugich oszukują, czasem nawet okradają, krótko mówiąc, w każdym względzie najniemoralniejsze życie prowadzą.

A cóż dopiero mówić o takim poganinie, jak Libanios, o którym każdy gimnazjalista, jeżeli był w VII. klasie, wiedzieć powinien, że ten Libanios był profesorem po najświetniejszych wszechnicach, że był czczony i kochany od takich uczniów swoich, jak Św. Bazyli Wielki, Św. Jan Chryzostom, Św. Grzegorz Nazyanzeński etc.? Czy i ten Libanios pouczał swoich słuchaczy, że bóg się zamieniał to w łabędzia, to w byka, aby jaką zdrożność popełnić? czy owi wielcy Ojcowie kościoła mogliby dla takiego nauczyciela mieć jakiś szacunek? Można oczywiście przypuścić, że i wtedy nawet jaki taki widział w mitologicznych bajkach w istocie szczerą prawdę, tak samo, jak i dzisiaj nie trudno znaleźć takich, którzy najniedorzeczniejszych legend z pobożną wiarą słuchają. Ale z takich wypadków nie można wnioskować na religijne przekonania narodów. A jedr uk u nas wszyscy, którzy przeszli przez gimnazyum, twierdzą całym stanowczo — (a inni powtarzają za nimi, jak za panią matką pacierz) — że dla Greków Homer i Ilezod byli zawsze głównym punktem oparcia w przekonaniach religijnych³⁾; zaś takiego Lucjana, który, mówiąc po największych miastach odczyty dla publiczności, chlostał zarówno przewrotność filozofów, jak głupotę zabobonów, a przez to cieszył się największą popularnością w narodzie, nazywają bezbożnikiem i

³⁾ Dla uniknienia nieporozumień trzeba tu zastrzedz wyraźnie, że Homer zawsze jest i zawsze będzie niewyczerpaną skarbnicą mądrości, ale nie w religijnym względzie. Horacy mówi o Bogu tak: „Ten, który jedyny włada w niebie i na ziemi, na morzu i w piekle; który z nieugiętą sprawiedliwością kieruje polityką świata, losami śmiertelników i nieśmiertelnymi niebios mieszkańcami. Nad którego nie ma nic większego, któremu nie ma nic ani równego, ani podobnego“. Dosłownie: „*Qui terram inertem, qui mare temperat ventosum, urbesque, regnaque tristia, dirosque mortalesque turbas imperio regit unus aequo.* — *Unde nil majus generatur ipso, nec iverget quidquam simile aut secundum.*“ — Jest to więc zapatrywanie wcale nie Homerowskie, lecz czysto monoteistyczne. — Ale ten sam Horacy powiada o Homerze, że się z niego więcej nauczył, jak z pism wszystkich filozofów.

ateistą nie dla tego, że w satyrach swoich nie oszczędzał chrześcijan — (których tak samo nie rozumiał, jak ongi Aristofanes nie rozumiał Sokratesa) — ale tylko dla tego, ponieważ herocyjni bogowie byli dla niego tylko figurkami komicznymi, a religia mitologiczna chyba tylko zabawką dla dzieci. Na tej więc podstawie twierdzi się dzisiaj o nim, jakoby nie miał żadnej religii, ponieważ własną religię wyszydzał. — On wyśmiewał mitologię, nie religię; a ja upraszam jeszcze raz o odpowiedź, gdzie to jest napisane, że mitologia znaczy religia.

Może być, że tu chciałby kto zapytać: »A więc jakaż to była ta religia Greków?« Tak pytającemu trzeba przypomnieć, że przedmiotem niniejszej rozprawy nie jest religia pogańskich Hellenów, ale religia pogańskich Słowian. Trzeba było jednak koniecznie wspomnieć wprzód o mitologii greckiej, ponieważ błędne pojmowanie tej mitologii zrodziło drugi błąd, mianowicie ten, jakoby wogóle religia pogan była mitologią, że zatem każdy naród pogański, a więc i Słowianin pogański musiał mieć mitologią.

Gdzie jest niwa, tam roślina naturalna sama się okaże; nie trzeba jej siać. Takim kwiatem naturalnym na niwie serca ludzkiego jest religia. Gdzie jest serce ludzkie, tam i ona jest. Sama się rodzi, jak się pojęcia rodzą. Ale mitologia nie jest naturalną rośliną; jest to kwiat w oranżeryi wypielegnowany; jest to sztuczny utwór poetów. Gdzie nie było opowiadaczów bajek, tam bajki istnieć nie mogły, gdzie nie było poetów, tam nie było mitologii. Jeżeli więc kto mówi o mitologii słowiańskiej, ten marzy o jakichś wielkich poetach w pogańskiej Słowiańszczyźnie i o jakichś wielkich centrach, gdzie gromadzące się ludy przysłuchiwały się pieśniom tych poetów, przez co mogły sobie przywłaszczyć przynajmniej jednolite imiona bóstw swoich, bo inaczej jakimże innym sposobem mogłyby narody o nazwiskach i o zakresie działania swoich bóstw się dowiedzieć? Książek przecież nie było; czy może kapłani miewali kazania? i czy była u Słowian jakaś kasta kapłańska? — Zaś jeżeli narody słowiańskie nie miały nigdzie sposobności jednych i tych samych pieśni słuchać, aby się ich nauczyć i śpiewać, to wszelkie rozprawianie o mitologii Słowian zostanie pustem gadaniem na wiatr, żadnej nie mającemu podstawy. A raczej, mitologia grecka jest podstawą tych marzeń. Gdyby nam Grecy byli swojej mitologii nie zostawili, to dzi-

siaj niktby nie myślał o jakiejś mitologii słowiańskiej. I nie mógłby nawet myśleć, bo nie miałby ani wyrazu, ani pojęcia o mitologii.

— Możeby kto powiedział, że takie pieśni istniały na każdy sposób, ale w upływie tylu wieków zagięły bez śladu. — Jeżeli tak, to i mitologia zagięła bez śladu, a w takim razie wszystkie poszukiwania zostaną daremne.

Ale wyobraźmy sobie, że jakiś poważny wieśniak robi gorliwe poszukiwania za tym drewnianym konikiem, na którym jeździł, kiedy był dzieckiem, i za temi pięknymi sukienkami różnego rodzaju, w które się ubierał, już to idąc na przechadzkę z guwernantką, już to z mamą do teatru, a już najpiękniejsze te, kiedy szedł na kinderbale. Na zapytanie, czy to może kto pokradł, odpowie, że to wszystko zginęło podczas wielkiego pożaru; szuka jednak, bo może przecież jaki ślad gdzieś znajdzie. Nareszcie po dłuższem poszukiwaniu rzucił ktoś przypadkowo zapytanie: »A czy miałeś ty w istocie kiedyś guwernantkę, czy chodziłeś do teatrów i na kinderbale, czy miałeś takiego konika?« — Na to wieśniak odpowie, że on sobie nic nie przypomina, kiedy to wszystko posiadał; że on tego nigdy nie widział, ani nikt mu o tem nie mówił, ale na każdy sposób musiał to wszystko posiadać, bo przecież widzi, że to mają dzieci we dworze u dziedzica, i na ruskiej plebanii, i u przedsiębiorcy, ba nawet u propinatora. Oto jest wierny obraz tych, którzy robią poszukiwania za mitologią słowiańską, a zarazem powiadają, że ślady tej mitologii dawno zagięły, ale że takowa istnieć musiała, bo mitologię mieli Grecy, Rzymianie i Egipcyanie etc. etc.

Przypuśćmy jednak to, co nie jest prawdopodobnem, aby w upływie wieków wszelkie ślady tego, co w tak wielkiej Słowiańszczyźnie żyło w całym narodzie, tak zupełnie zagięło, że w żadnym zakątku nic się nie ostało, to przecież Litwa przyjęła chrześcijaństwo, można powiedzieć, onegdaj. Wszystko się działo wobec całego świata, przy największej jasności światła historycznego; znajome są małe drobnostki z życia ówczesnych bohaterów litewskich, a tak ważna rzecz, jak religia, którą wtedy miała być jakaś mitologia, nie potrafiła ściągnąć na siebie niczyjej uwagi, ani w pierwszej chwili, ani cokolwiek później; i to, co przez tak długie wieki musiało koniecznie wejść w krew, szpik i kości narodu, zeszło od razu ze świata za je-

dnym zamachem, skoro Jagiello chrzest przyjął. Z tym chrztem zatarła się mitologia w pamięci nie tylko całego narodu, ale i u najbliższych sąsiadów jego, przyjaźnych zarówno, jak nieprzyjaźnych. Czy może to być prawdopodobnym, co wyobrazić sobie jest niepodobieństwem?

Nim jednak zaczniemy mówić o religii Słowian, niepodobna ominąć jeszcze jednego, bardzo głęboko zakorzonego błędu. Mówi się o Grekach, że ich religia była ubóstwieniem natury. Każdą siłę przyrody wyobrażano sobie jakby jaką osobę, tej osobie dano imię i nazwano ją bogiem. Mówi się dalej, że tak samo było u Słowian, że oni mieli osobne bóstwo zapładniające, osobne bóstwo płodności, osobne bóstwo piękna i ładu, osobne bóstwo miłości seksualnej, osobne miłości braterskiej i t. d. i t. d. (mianowicie miłość braterską miały reprezentować bogi Lele i Polele). Twierdzi się więc następnie, że zgodność tych religii nie powinna zastanawiać; przodkowie bowiem wszystkich narodów szczepu Aryjskiego mieszkali pierwotnie na wyżynach Pamiru. Tam to pierwotnemu człowiekowi imponowała natura i tam powstał ten kult przyrody, który potomność następnie zmieniała tak samo, jak zmieniała mowę. Formy się zmieniły, istota została.

Takie rozumowanie wygląda bardzo ładnie, ale inaczej się rzecz przedstawi, jeżeli się na nią patrzy okiem nieuprzedzonym. Ale najpierw pozwolimy sobie małą dygresyją.

W bitwie pod Arginuzami dowodziło flotą ateńską sześciu admirałów. Zwycięstwo było świetne, nieprzyjaciel zniszczony. W tem powstaje gwałtowna burza. Czem prędzej trzeba było ze zwycięską flotą schronić się do portu. Tymczasem ciała poległych żołnierzy zostały przez fale porwane i w dalekie uniesione strony, tak że ich odszukać i pogrzebać było niepodobieństwem. Za to ukarali Ateńczycy zwycięskich swoich admirałów śmiercią. Otóż każdy, który twierdzi, że kult natury był religią Greków, powinien to wytłómaczyć, która też uosobiona siła przyrody wymagała od Ateńczyków tego czynu tak okrutnego, a oraz bezrozumnego, bo z największą ich własną szkodą połączonego? Która uosobiona siła natury władała tak potężnie umysłami ludu, że demagogowie wiedzieli, w którą stronę uderzyć, aby najhaniebniejszego celu swego dopiąć?

To, co Ateńczykom tak postąpić kazało, była ich religia, która taką samą była, jak religia pogańskich Słowian, ale która nie była żadnem ubóstwieniem jakichś tam sił przyrody. Wiemy bowiem z pewnością, że przodkowie Hellenów, z tego samego szczepu aryjskiego, który wyszedł z Pamiru, żywili się żołądźmi i mieszkali w najdzikszym stanie po lasach, nim się o Semitów otarli i cokolwiek ogładzili. Zachodzi więc pytanie, jak wyglądała kultura o tyle wieków wstecz tych samych Aryjczyków, kiedy jeszcze mieszkali na wyżynach Pamiru? Z pewnością wyglądała tak, że w porównaniu do niej dzisiejsi Zulusi stoją na bardzo już wysokim stopniu cywilizacyi. A wśród takich dzikunów mieli istnieć jacyś dziwni, niepojętego rodzaju mędrzy, którzy prawdy kosmiczne, astronomiczne, meteorologiczne etc. etc. jasno poznawali i tylko alegorycznie je przedstawiali. Kto coś podobnego twierdzi, powinien wykazać, jak to się stać mogło, bo naturalną drogą jest to niepodobieństwem.

Kto patrzy okiem nieuprzedzonym, ten na wyżynach Pamiru dostrzedz może w owych czasach tylko pierwotnego człowieka (*Urmensch*). A pierwotnemu człowiekowi czy imponowała natura? Dzisiaj widzimy, że natura imponuje tylko ludziom wykształconym; dla innych zaś wszystko, co się w naturze dzieje, jest rzeczą całkiem zwykłą, niepotrzebującą żadnego wyjaśnienia. Ludzie niewykształceni nie chcą wierzyć, że ziemia unosi się w przestrzeni, »ponieważ najmniejszy pyłek w powietrzu się nie utrzyma«. A wskazać im na księżyc, który jest przecież większy, jak pyłek, a jednak nigdzie nie opada, to odpowiadają bardzo energicznie; »To co innego, to na niebie«. Jeżeli kto w obecności niewykształconego człowieka zastanawia się, jakim to sposobem w kwiecie georginii tak symetrycznie są listki ułożone, to ten człowiek zaśmieje się szyderczo, a jeżeli się udobrucha, to da protekcyjonalnie naukę: »Trzeba przecież mieć na tyle rozumu, aby poznać, że to tak się rodzi«.

Tak to dzisiaj niewykształconemu człowiekowi imponuje natura; a teoretycy twierdzą, że pierwotnemu człowiekowi natura imponowała. Pierwotny człowiek podziwiał wschodzące słońce tak samo, jak koń, przestraszył się piorunu, tak samo jak koń, dla którego wszystko jest jedno, czy to trząskał piorun, czy spadające drzewo. Ale na widok umarłego towarzysza koń najeży ogon i grzywę, i zarzy półgłosem, jakoś tak strasznie, że mróz pójdzie po ciebie. Tak samo i pierwotny człowiek

musiał na widok umarłego, czy towarzysza, czy wodza, doznać jakiegoś niezwykłego, nigdy przedtem jeszcze niedoświadczonego uczucia. A kiedy już myśleć umiał, to musiał się zastanowić, gdzie to życie uleciało, gdzie się podziała ta siła, przed chwilą jeszcze tak niespożyta, tak niezwyknięta! Widząc zaś, że różnica między żyjącym a umarłym jest tylko ta, że każdy żyjący ma dech, a umarłemu tchu brakuje, bo zapewne gdzieś uleciał, więc widocznie tylko ten dech, czyli duch, jest życiem i siłą. A ten dech, czyli duch, porzucił wprawdzie ciało, ale istnieć nie przestał; on gdzieś tu koniecznie być musi, on się patrzy i na ciało swoje i na drużynę swoją; ani jedno, ani drugie nie przestało go obchodzić; troszczy się o ciało swoje, z którego wyszedł, i o drużynę, którą zostawił; więc i nawzajem nie mógł przestać być przedmiotem szczerzej opieki ze strony drużyny; jaką cześć oddawano mu za życia, taką samą oddawano mu i teraz, podawano mu pokarm i wogóle wszystko to, w czym się za życia najbardziej lubował. Rozumie się samo przez się, że duch wodza doznawał opieki od całej drużyny, duch zaś towarzysza, tylko od swoich najbliższych. Tym sposobem powstawały różne kategorie duchów, to potężniejszych, to podrzędnych.

Prawie nie potrzeba o tem wspominać, że pierwotny stan człowieka (*der Urzustand*) był na każdym kroku nieustającą walką. Człowiek musiał żyć gromadnie, bo pojedynczo zginąłby bezwarunkowo. Gromada zaś nie może się obejść bez wodza, co widać i u zwierząt gromadnie żyjących. Nikt zaś nie będzie tak naiwnym, aby przypuszczał, że w owych pierwotnych czasach istniały jakieś imiona chrzestne, lub jakieś nazwiska. Więc i ten wódz nie miał ani imienia, ani nazwiska żadnego; nazywano go po prostu »panem«, albo »ojcem«, a cała drużyna była jego rodziną, wszyscy byli jego dziećmi, czyli, jak dawniej mówiono, była jego czeladzią (jeszcze w tych czasach, kiedy Węgrzy przyszedli do słowiańskich krajów, cała rodzina, czyli z łacińska mówiąc familia, nazywała się u Słowian czeladzią). Wiadomo jest każdemu, że takiego naczelnika, czyli ojca, długo jeszcze potem, kiedy już istniały potężne państwa, nazywano ciągle jeszcze archi-pater, czyli patriarchy. Ale jakkolwiek w tych pierwotnych czasach mowa ograniczała się na bardzo tylko szczupły zasób wyrazów, to jednak do oddania pojęcia »pan« miano jeszcze inny wyraz, a tym wyrazem jest

»bóg«. Że słowo »bóg« pierwotnie nic innego nie znaczyło, jak tylko tyle, co późniejszy naczelnik, czyli wódz, czyli ojciec, czyli patriarchy, czyli pan, na to mamy niezbity dowód w naszych wyrazach »bogacz«, »bogaty«, »bogactwo«, »ubogi«. Tylko bóg mógł być bogatym, czyli bogaczem, tylko bóg mógł posiadać bogactwo, tak samo, jak tylko zwierzchnik może posiadać zwierzchnictwo. Kto zaś bogiem, czyli bogatym nie był, ten był ubogim. Słowo »u« może mieć tutaj dwojakie znaczenie: albo jest wyrazem przeczenia, tak jak niemieckie »un« (*unhold, ungeheuer*), a w takim razie »ubogi« znaczy tyle, co niebogi, uboga tyle co nieboga; albo jest zwykłym przyimkiem i orzeka tyle, że kto w owych czasach sam nie był bogiem, ten zaliczał się do tych, którzy zostawali w zawisłości, czyli w służbie u boga, którzy bogu służyli, którzy będąc u boga, byli ubogimi. Tak samo i łaciński wyraz „*dis*“ oznacza zarówno i bogacza i boga.

Były więc wyrazy »pan«, »ojciec«, »bóg«, pierwotnie synonimami, a w tem znajdziemy wytlómaczenie, dlaczego to u tych narodów, których pamięć sięgała najdawniejszych czasów, zaczyna się historia w ten sposób, że najpierw nad nimi panowali bogowie, którzy następnie usunawszy się do nieba, na swoje miejsce postawili królów. Całkiem naturalnie, bo królowie byli następcami i zastępcami tych poprzedników swoich, tych bezimiennych jeszcze panów, ojców, bogów, którzy po śmierci swojej jako duchy opiekuńcze hołdy odbierali, a później, podług wyobrażeń narodu, już w niebie mieszkali. Wyjaśni to nam dalej, dlaczego to u Rzymian każdego boga, nietylko najwyższego rzędu, ale i najniższej kategorii, do której zaliczano Priapa, Fauna, Silvana etc., nazywano ojcem (Kto temu nie wierzy, niech zaglądnie do Horacego Epod. II. 21. Preller Röm. Mythologie 83.) Skoro tylko był bogiem, to był oraz i ojcem, bo »bóg« i »ojciec« znaczyło pierwotnie jedno i to samo. Wyjaśni to nareszcie, dlaczego to najdawniejszy kult u wszystkich narodów (u Greków zarówno, jak u Słowian i Germanów) nie znał żadnych świątyń. Ofiarowano po lasach bogowi bez żadnego wyobrażenia. Pamięć tego dawnego kultu przechowała się u Rzymian w ten sposób, że między innymi świątyniami, była jedna poświęconą bogu nieznanemu (*deo incognito*), a w Grecyi nazywano tego boga Zeusem Arkadyjskim. (Ale Zeus nie jest imieniem własnym; znaczy tyle, co łacińskie *deus*, po

naszemu Żyw, wśród jasności żyjący, po jońsku Zen, z czego powstało polskie »dzień«, u Doryjczyków na Krécie: Den, co się przechowało w ruskiem »deń«).

Widzimy więc, że aby wytlómaczyć zgodność religii szczepu aryjskiego, całkiem niepotrzebnie jest uciekać się do tak nie-naturalnej i, można powiedzieć, potwornej hipotezy, jakoby jeszcze na wyżynach Pamiru byli jacyś mędrcy, którzy rozmaite siły natury uosabniali, takowe ubóstwiali i tylko allegorycznie je przedstawiali.

Jeżeli nadto zważymy, że dzisiaj wieśniakowi niewykształconemu wystarczy kilkaset wyrazów, aby się nimi we wszystkich stosunkach przez całe życie posługiwał, to jak nierównie uboższą musiała być mowa na wyżynach Pamiru! i jak mogła tak uboga mowa wystarczyć, aby w niej układać allegorye na różne siły natury!

U narodów odbywa się ten sam proces, co u pojedynczych jednostek; to jest, że mędrcy występują w dojrzałym tylko wieku, ale nigdy w kołysce.

Pierwsze źródło religii nietylko szczepu aryjskiego, ale wszystkich szczepów świata, wytrysło nad zwłokami pierwszego wodza, kiedy ludzkość jako tako już myśleć umiała*). A co uczeni mężowie twierdzą, że bóstwa żeńskie starsze są od bóstw męskich, to jest bez zaprzeczenia zgodne z rzeczywistością, bo w owych strasznych walkach o byt, w ponurych czasach pierwotnych (*Urzeit*), pierwszym wodzem na świecie była niezawodnie matka. A musiała to być straszliwa lwica, kiedy w walce z najsrońszymi nawet potworami, w maczugę tylko zbrojna, zwycięsko wychodziła.

Powyższe uwagi i zastanowienia się uważamy za niezbędne, ponieważ patrząc się na Greków, wchodzimy na fałszywe tory w trojakim kierunku. Najpierw z błędnego mniemania, że mitologia była religią Greków, wnioskujemy także, że i religia pogańskich Słowian była mitologią. Powtóre z tego faktu, że Grecy mieli mitologię, wnioskujemy niedorzecznie, że mitologia i u nas być musiała. A po trzecie, mylne zapatrywanie, że

*) Dla zaspokojenia drażliwych umysłów oświadczamy wyraźnie, że objawienia wcale nie tykamy, ani wchodzimy w kwestyę, czy objawienie istniało, czy było potrzebne, i czy było konieczne. O tem każdy ma swoje przekonanie, którego nikomu tykać nie wolno, a my tu mówimy tylko o świecie pogańskim.

Grecy ubóstwiali siły natury, prowadzi nas także do mylnego zapatrywania, jakoby i bóstwa słowiańskie były także uosobieniem różnych sił przyrody. Nareszcie twierdzenie o zgodności religii szczepu aryjskiego jest ciasne; ta bowiem zgodność religii istniała nietylko u narodów szczepu aryjskiego, ale u wszystkich szczepów całego wogóle świata, tylko że w dalszym rozwoju każda poszła swoją drogą. Jak same narody rozwinęły się w tak rozmaitym kierunku, że jeden do drugiego stał się niepodobnym, ale pierwotny typ zachował się tak, że i w Parызaninie i Kalmuku, i w murzynie każdy musi widzieć swego brata, to samo zupełnie stało się i z religią; i jakkolwiek może być jedna niepodobną do drugiej, to jednak wszędzie da się dostrzedz wspólne wszystkim źródło.

Przyglądnijmy się więc tej religii, która nas najbardziej obchodzi, religii naszych przodków. Często będziemy tu wskazywali na mitologię grecką, bo ta jest każdemu znana.

Najpierw jednak nasuwa się pytanie, gdzie można się czegoś dowiedzieć o tej religii? z kąd zaczerpnąć jakiejś wiadomości o niej? Na to się zwykle odpowiada, że głównem źródłem są chrześcijańscy kronikarze z tych czasów, kiedy w Słowiańszczyźnie chrzest zaprowadzano.

Nie wiele tam znajdziemy, a i na to, co tam jest, spuścić się nie można. Ci kronikarze bowiem z pewnością nie więcej się interesowali poganami, jak Tacyt Żydami, albo chrześcijanami. Pisze zaś Tacyt o Żydach tak: że oni pochodzą z Krety i mieszkali pod górą Ida, ztąd ich nazwa Idaei, czyli Judaei. Z Krety przenieśli się do Egiptu, z kąd ich jednakże wypędzono. Znalazszy się wśród puszczy, byliby wszyscy z rozpaczyny zginęli. W tem wystąpił Mojżesz, który potrafił ich ducha pokrzepić, ale wezwał ich wprzód, aby się wszystkich bogów wyrzekli i żadnemu nie służyli; bo ci bogowie jeżeli są, to nie warto im służyć, ponieważ się Żydami bardzo źle opiekowali; zaś jeżeli ich nie ma, to i służyć im nie trzeba. Dlatego to Żydzi są ateistami i żadnych bogów nie uznają. Idąc dalej przez puszcze, cierpieli bardzo wiele dla braku wody, i już byliby ulegli z pragnienia, kiedy właśnie w najkrytyczniejszej chwili spostrzegli dzikiego osła, który spłoszony uciekał. Mojżesz zaraz wywnioskował, że tu woda być musi, kiedy osioł tu żyje, i poprowadził Żydów w tym kierunku, którądy osioł był pobiegł. Niedługo szli, bo w istocie znaleźli w skale źródło

obfitej wody. Ponieważ zatem osłowi zawdzięczają swe ocale-
nie, więc, osiadszy w Jerozolimie, wybudowali świątynię, tam
na ołtarzu postawili wizerunek osła i tylko temu osłowi oddają
cześć boską. Zaś o chrześcijanach pisze Tacyt tak: Chrześcija-
nie jest to sekta żydowska, która ma imię od twórcy swego
Chrystusa. Zasada żydów jest: nienawidzieć wszystkie narody
całej ludzkości (*odium generis humani*). Chrześcijanie jednak tę
zasadę nienawiści do takiego stopnia spotęgowali, że tego nawet
już i samym Żydom było za wiele. Dlatego Żydzi bardzo ich
nie cierpią. Twórca tej plugawej religii poniósł zasłużoną
karę za czasów Tyberyusza.

Tak pisał nie kronikarz, ale wielki historyk o religii tych
ludzi, z którymi razem żył. Czy jest jaka prawda w tych rela-
cyach? Nawet na imiona spuścić się nie można, bo Ida i Kreta
nie mają z Żydami nic do czynienia, a za czasów Mojżesza, i
bardzo długo jeszcze potem, istnieli Hebrajczycy, istnieli Izrae-
licy, ale Żydów nie było.

Tak samo i od kronikarzy można się dowiedzieć chyba
tylko o imionach niektórych bogów słowiańskich, ale nawet i
to nie bez restrykcji. I nie dziw, bo religia to są, jak się już
wyżej powiedziało, kwiaty, które każdy w swoim sercu upra-
wia i pielęgnuje. Aby te kwiaty poznać, trzeba do tego serca
wejść. A jak Tacyt nie był w sercach Żydów i Chrześcijan,
tak i ci kronikarze nie czytali w sercach ówczesnego pogaństwa.

Gdzież więc szukać tych świadectw, na którychby można
polegać? Są świadectwa najpewniejsze, chociaż nie w książkach
opisane. Nie ma przecież żadnych autorów, którzyby, jako na-
oczni świadkowie, przekazali potomności, co to się działo na
ziemi przed epoką węgla kamiennego, albo w czasach przed-
potopowych, a jednak wiemy dokładnie, jak wtedy świat wy-
glądał. Pouczają nas o tem warstwy geologiczne. Otóż, jak for-
macye geologiczne podały sposób do utworzenia historii roz-
woju fizycznego, taką samą drogą można dojść do utworzenia
historii rozwoju umysłowego. Jak warstwy geologiczne nie
pokrywają się równolegle, lecz z najdawniejszych czasów się-
gają jedne tu, drugie tam, do powierzchni ziemi, takie same
warstwy istnieją i w świecie umysłowym, a narody, tak zwane,
dzikie, przedstawiają niejako skamieniałości, dające wyobraże-
nie jak wyglądał każdy naród, kiedy jeszcze stał na takim sa-
mym stopniu rozwoju. W taki sposób snuje się niejako przed

oczywa cały ów wielki proces rozwoju ludzkości od stopnia najniższego do najwyższych szczebli.

W stanie pierwotnym, w tych ponurych czasach niczem nie przerwanej, na każdym kroku nieustającej, walki, musiało oczywiście bardzo wiele być kalektw, a nie obeszło się i bez tego, aby się ktoś i nieurodził kaleką. Taki kaleka, będąc nieprzydatnym do walki, dostał inne zatrudnienie. Oprócz do innych posług, użyto go przedewszystkiem do sporządzania maczug, do dostarczania czy to kamiennych czy drewnianych materyałów, stawiania sałaszów etc. Owi to pierwsi, ułomni przemysłowcy zrobili pierwszy, i do tych czas największy wynalazek na świecie. Nie mając bowiem żadnych narzędzi, musieli trzeć już to kamień o kamień, już to kamień o drzewo, już to drzewo o drzewo, a przy takim zatrudnieniu spostrzegli z zdziwieniem, jak pod ich rękami ukazał się ogień. Dlatego to w mitologii greckiej widzimy Wulkana, który bogom dostarcza zbroję, jako ułomnego kalekę. Ogień ten, straszny wprawdzie, bo wszystko co dopadnie pożera, okazał się zaraz bardzo dobroczynnym; bo nie tylko osuszył i ogrzał, nie tylko oczyścił barłóg od wszelkiego robactwa, ale i każdego potwora, każdego, nawet najśroźszego zwierza, trzymał w dalekim od siebie respekcie. Tym sposobem rozstzygnął od razu panowanie człowieka nad zwierzętami. Był to więc jakiś duch opiekuńczy. Ponieważ zaś rozlewał naokoło siebie dobroczynne ciepło, a z umarłego wodza właśnie ciepło uleciało, więc to niezawodnie ten duch, czyli dech, który wodza ogrzewał, okazał się tu w tym ogniu i opiekuje się drużyną z większą jeszcze potęgą aniżeli za życia. Trzeba go więc karmić, pilnować i pielęgnować, czyli, z łacińska mówiąc, trzeba mu oddawać kult, bo («colere» znaczy pilnować i pielęgnować, a pielęgnowanie »cultus«). Podsycano go więc nie tylko drzewem, ale podawano mu (czyli z łacińska mówiąc »ofiarowano«), szczególnie i to, co mu za życia najbardziej przypadło do smaku. Tu zaś okazało się, że teraz temu duchowi najprzyjemniejszym jest tłuszcz, zjada go bardzo chciwie i nic nie zostawia; mięsem nie pogardzał wprawdzie, ale jednak zostawiał sporo niedojadków. Mocno niegdyś rwno się za tem, co taki wódz przy jedzeniu zostawił, bo i dzisiaj dzieciom jest najmilszem to jedzenie, które mama zostawi. Więc i tych niedojadków wcale nie wyrzucano, raczej rwno się za nimi. I oto spostrzeżono, że teraz te niedojadki mają jakiś dziwny, daleko przyjemniejszy smak.

Tak więc ofiary stały się przyczyną wynalazku najpierw pieczenia; a od pieczenia do gotowania był już tylko jeden krok, ale na ten krok trzeba było jeszcze bardzo długo czekać, co jednak nie może być przedmiotem niniejszej rozprawy. Tu wystarczyło wykazać, że ogień był pierwszym wyobrażeniem bóstwa u wszystkich narodów na ziemi. Ale nie ogień był bogiem, tylko ten duch, który w ogniu siedział.

Mieli święty Znicz nasi przodkowie, mieli Grecy święty ogień w Delfach, mieli Rzymianie w świątyni Westy. I dzisiaj jeszcze żyją starzy ludzie, którzy pamiętają, jak za ich młodości w całej Europie ogień był jeszcze jakąś świętością, że pluć na ogień uważano za grzech; później przestrzegano już tylko: »Nie pluń na ogień, bo ci twarz opryszczy«. Aż nareszcie zapalki dopiero pozbawiły ognia dawnej świętości jego.

Ogień ten pierwszy, wijąc się po żerdzi, a przytem sycząc i drgającymi języzkami naokoło wywijając, robił wrażenie węża. A więc i węża musiał sobie obrać za siedzibę ten duch opiekuńczy, skoro wąż i ogień tak bardzo podobnie się manifestują.

Wiadomo jest każdemu, że Merkury trzyma w rękę różczkę z dwoma wijącymi się naokoło wężami. Jeżeli o tej różczce opowiadali poeci, że ona rozbraja nawet srogie, walczące ze sobą potwory, to widocznie ta różczka nie jest niczem innem, jak tylko obrazem przedstawieniem tego pierwszego ognia, głównie bowiem w tym kierunku, że ten ogień rozbrajał zwierzęta, doznał człowiek pomocy jego. Jeżeli dalej mówią poeci, że trzymając tę różczkę w rękę, prowadził Merkury dusze umarłych do ciemności podziemnych, to widocznie ta różczka była latarką jego, a więc i tu widać obrazowe przedstawienie tego pierwszego ognia.

Wąż, tak samo jak ogień, był u wszystkich narodów przedmiotem czci boskiej. Ale i tu nie wąż był bogiem, tylko ten duch, który w wężu przebywał. Były święte węże u nas, były i w Atenach w świątyni Minerwy.

Po tych pierwotnych czasach zaczyna się rozwijać okres heroiczny, który tak się nazywa nie dla tego, jakoby takie czasy najbardziej w bohaterów obfitowały, ale tylko dla tego, ponieważ ten okres, gdzie już jakaś zaczyna się kultura rozwijać, greccy poeci ochrztili mianem czasu heroicznego. Każdy naród przeszedł taki okres i wszędzie on jednakowo pod względem wyobrażeń religijnych wyglądał. Ale nie każdy znalazł

takich poetów jak Grecy, którzyby im z tych czasów tak piękną mitologię stworzyli. Zaczęły się już formować nie tylko osady i jakieś miasta, ale nawet państwa, a bogowie zaczęli przybierać nazwiska. Nie byli jednak ci bogowie stwórcami ani kraju swego, ani mieszkańców jego; były to ciągle jeszcze duchy opiekuńcze, tak samo, jak w czasach pierwotnych, ale miały już taką siłę, że potrafiły rozporządzać pogodą i słońcem, urodzajem i nieurodzajem, zdrowiem i chorobą.

Nie tylko każdy kraj, ale i każda osada miała swoich osobnych bogów, czyli duchów opiekuńczych, a duchy te nie mieszkaly w niebie ale ciągle jeszcze wśród swoich na ziemi. Zaczęto więc powoli (ale nie wszędzie) stawiać im przybytki tak, że ten duch, który przedtem przebywał już to w ogniu, już to w wężu, już to w grobie ciała swego, mieszkał także gdzie indziej już i w swoim własnym domku, w swojej osobnej świątyni. Ofiary więc sprawowano miejscami przy grobie, miejscami przy świątyniach. A każde miasto było tak długo nie do zdobycia, jak długo jego duchy opiekuńcze go nie opuściły.

Nie każdy naród trwał w tym okresie heroicznym jednako długo. Są narody, które z tego stadium nie wyszły do dziś dnia, inne się rozwinęły; jedne wcześniej, drugie później.

Wiemy o wojnie Trojańskiej, że Grecy tak długo nie mogli zdobyć miasta, aż się Ulissesowi udało wykraść i wprowadzić z tamtąd boginię Minervę. Kiedy Grecya stanęła na najwyższym stopniu rozwoju, a filozofowie greccy przyszedli do poznania jedyne go Boga i twórcy wszechświata, wtedy prowadzili Rzymianie wojnę z Vejentami. Duchem opiekuńczym Vejentów była wtedy Juno. Kamillus tedy, przyrzekłszy tej wejentskiej Junonie nierównie świetniejszy kult na rzymskim kapitolu, spowodował ją zakłęciami, że opuściła Weji i przeniosła się do Rzymu. Wtedy dopiero można było ze skutkiem przypuścić szturm do miasta. Aby zaś kto inny nie potrafił Rzymianom nawzajem podobnej psoty wypłatać, dlatego trzymali oni imiona bogów swoich w wielkiej tajemnicy. A więc zupełnie tak samo, jak było w Grecyi za czasów Trojańskich. Ale między wojną Trojańską a wojną Wejentską leży mała drobnostka: z górą tysiąc lat.

Kiedy Rzymianie stali na najwyższym stopniu i w cywilizacji dorównywali Grekom, wtedy znajdowali się Germanowie miejscami w okresie heroicznym, a miejscami jeszcze niżej. Wiemy

bowiem, że Usypeci i Tenkterowie grozili Cezarowi, aby ich nie zaczepiał, bo oni dotychczas tylko jednym Suebom ustąpili, ale Suebom i bogowie rady dać nie mogą. Zaś podług świadectwa Tacyty, który się uwziął chwalić Germanów, żyły na ostatnich wschodnio-północnych krańcach takie szczepy germańskie, które, obchodząc się bez wszelkich potrzeb, na takim stopniu filozoficznej doskonałości stanęły, iż same o sobie mogły z dumą wyrzekać: »potrafilismy się nawet od bogów niezawisłymi uczynić«. Byli to, jak widzimy, filozofowie takiego rodzaju, jak dzisiaj Buszmani, albo Botokudosi.

Przedstawiają się nam tym sposobem do badania warstwy niejako geologiczne rozwoju ludzkości, którym przy świetle historycznym przypatrzeć się można, a przy tem świetle okazuje się nam, że te warstwy z okresu heroicznego wszędzie są jednakowe. A więc i okres heroiczny u Słowian nie może być innym. W tym okresie heroicznym stała aż do przyjęcia chrześcijaństwa cała Słowiańszczyzna, wyjąwszy wysoko ucywilizowane miasta na Rusi. Sławne te rzeczypospolite potrafiły, tak samo jak Grecy i Rzymianie, jeszcze przed chrześcijaństwem wyjść z tego okresu; ale cóż, kiedy o nich nic a nic nie wiemy. Najezdcy zgnetli ich wolność i ich cywilizacją i postąpili zresztą tak, jak Hiszpanie w Ameryce, że, zaprowadziwszy chrześcijaństwo, przyszłym pokoleniom o minionej wielkości i sławie nic nie przekazali. Mówiąc zatem o religii pogańskich Słowian, nie możemy mieć na względzie pogańskich Nowogrodzian, pogańskiego Kijowa etc.

Człowiek w pierwotnym stanie, wśród tych walk nieustających, umierał tylko śmiercią gwałtowną; walczył bowiem wyłącznie tylko w tym kierunku, ażeby albo nieprzyjaciela pożreć, albo ażeby się od pożarcia ochronić. Nie mając żadnego wyobrażenia o prawach natury, nie mógł mieć także i wyobrażenia o naturalnej śmierci, której nigdzie nie widział. A kiedy z czasem okazała się i śmierć naturalna, to zapatrywał się na nią jak na jakieś nieszczęście, przez jakiegoś nieprzyjaznego ducha spowodowane, tak, że i naturalną śmierć uważał tylko za gwałtowną. Gdyby nie ten gwałt mogłoby żyć bez końca. Najnowsze dzieło zbiorowe *die Völkerkunde. Leipzig, 1883.* wylicza narody w środkowej Afryce, które do dziś dnia w przekonaniu żyją, że człowiek żyłby bez końca, gdyby mu jakaś nie-

przyjazna istota (czy to duch, czy inny człowiek, czy jakieś zwierzę) śmierci nie zadała.

W heroicznym okresie człowiek wprawdzie już wie, że umierać musi i żyć bez końca nie będzie, ale tak, jak my dzisiaj każdy wypadek śmierci przypisujemy jakiejś przyczynie, którą można było ominąć, a przez to samo i śmierci, przynajmniej na teraz, uniknąć, tak znowu człowiek w okresie heroicznym upatrywał przyczynę śmierci zawsze jeszcze w gniewie jakiegoś ducha nieprzyjaznego. W pieśniach Homera każdy bohater umiera albo dlatego, ponieważ jakiegoś boga obraził, a ten go postanowił ukarać, albo przynajmniej dlatego, ponieważ jakieś bóstwo modłów człowieka, proszącego o opiekę, wysłuchać nie chciało. Śmierć naturalną nazywa Homer strzałą Apollina, a jeżeli te strzały bardzo gęsto padają, wtedy jest zaraza. Lecz nietylko śmierć, ale w ogóle każde nieszczęście sprawiał rozgniewany duch. Rzymianie w razie wielkiego pomoru, albo nieurodzaju, albo jakiejś innej klęski, zasięgali rady w księgach sybillińskich, a każda bez wyjątku rada opiewała, że trzeba pewnemi ofiarami jakiegoś ducha przebłagać.

Nie inaczej było i u nas, gdzie także szerzyła zarazę morowa dziewica, jakaś bezimienna duchowa istota, która się u Czechów nazywała Mura, co jednak każdy widzi, że to nie jest imię własne. A o gradzie nasz lud powiada do dziś dnia, że roznoszą go planetniki. Zapomniał już lud, że dawniej tego ducha tem imieniem nie nazywał, a myślał tylko poprostu o rozgniewanym duchu. Gdyby się przed chrześcijaństwem jaka literatura była rozwinęła, to o tej morowej dziewicy i o dzisiejszych planetnikach byłyby tak samo istniały całe historye, jak o strzałach Apollina i o księgach sybillińskich. Żądać zaś jakichś opowiadań tam, gdzie nie było żadnych opowiadaczów i poetów, to przecież jest niedorzecznością.

Ponieważ dalej każdą chorobę tłumaczono tak, że jakiś rozgniewany duch, wstąpiwszy w zdrowego człowieka, wywoływał w nim ten stan chorobliwy, dlatego nazywano chorego człowieka opętanym od złego ducha. Pod wyrazem »zły duch« nie rozumiano jednak jakiegoś szatana, tylko takiego ducha, jak każdy inny, ale rozgniewanego, którego trzeba było ofiarami przebłagać i do wyjścia nakłonić. Istniały jednak sposoby, którymi można było na ducha wpłynąć. Sposoby takie nazywały się czary albo gusła. Widzieliśmy już, jak Ka-

millus umiał wpłynąć na Junonę, aby opuściła Weji. Znachor, czarodziej, czy guślarz umiał spowodować ducha, ażeby wlaź w cudzą krowę i takowej mleko odebrał, albo żeby sprowadził grad na niwę sąsiada, albo żeby wstąpił w jakiegoś człowieka i takowego opętał, albo żeby opętanego człowieka opuścił. Gdyby zaś ten duch rozgniewany takich czarodziejskich zaklęć nie usłuchał, wtedy znachor przywoływał silniejszego ducha i za pomocą tego silniejszego umiał wypędzić słabszego, który chorego opętał. Że guślarz umiał rozkazywać duchom, widzimy to w »Dziadach Mickiewicza«, gdzie duchy przychodzą i odchodzą na wezwanie guślarza.

Nie potrzeba nawet żadnych pisemnych dowodów na to, że tak było w istocie. Pozostałości bowiem tego wyobrażenia zachowują się u ludu do dziś dnia, gdzie całe zaufanie posiada znachor, a lekarz żadnego; gdzie od chorego człowieka, od chorej krowy etc. odpędza się licho jakimś przemówieniem. A wyraźnie nawet wypowiada to lud co do chorób, objawiających się w paroksyzmach, czyniących tym sposobem wrażenie doznanego napadu, czyli opętania. Podczas cholery nie wypowie żaden wieśniak tego wyrazu »cholera«, bo wyobraża sobie, że to jest imię nieprzyjaznego ducha. Używa więc zwrotu »ta słabość«, aby nie przywołał ducha, nazwawszy go po imieniu. Febra daje się nieraz widzieć w postaci pięknej niewiasty, co naoczni świadkowie licznie stwierdzić mogą. Właściwe imię tej niewiasty jest »frybra« i nie należy tego imienia wymawiać, bo ona, usłyszawszy takowe, stawi się na zawołanie. A jeżeli trzebaby już koniecznie to imię wymówić, to należy użyć zwrotu »Zdrowaś Marya, frybra«, albo »Duch święty przy nas, frybra«. Odpędza więc jeszcze do dziś dnia lud jednego ducha, innym potężniejszym duchem.

Tak to Diomedes w towarzystwie Minerwy napędził z pod Troi i Marsa i Afrodytę. Ale na końcu i Minerwa mu nic nie pomogła, bo Afrodyta, pamiętając doznanej hańby, potrafiła dopatrzeć stosownej chwili do zemsty i odplaciła mu ciężko: najpierw wygnaniem z ojczyzny, a nareszcie śmiercią w dalekiem nawet tułactwie.

Do wytwarzania jednak tak pięknych bajek potrzeba wielkich poetów. Czy u pogańskich Słowian byli tacy poeci? — Tak się rzecz ma ze wszystkim. Nasze wyobrażenia z cza-

sów heroiczných były takie jak Greków, tylko że nie mieliśmy takich poetów jak Grecy, a więc nie mieliśmy i mitologii.

Wiadomo jest każdemu, jak Aldona w »Konradzie Walenrodzie« wyobrażała sobie, że świat powstaje z jednej strony z Litwy, a z drugiej strony z Niemców. Jest to wprawdzie tylko licentia poetica, ponieważ córka panującego księcia mogła i powinna była mieć trochę dokładniejsze wyobrażenie. Mógł jednak poeta przedstawić ją taką, ponieważ to się zgadzało z wyobrażeniami ludu. W Grecyi było inaczej. Grecya jest na wszystkie strony poszarpana i wygląda, jak liść winogronowy, tak, że przy jakim takim postępie żeglugi mogły się plemiona łatwo z sobą stykać i nawzajem się poznać. A ponieważ każde plemię miało swego osobnego ducha opiekuńczego, czyli boga, więc poznano i tych rozmaitych bogów. Stosunki w krainie duchów modelował zawsze człowiek podług tych stosunków, jakie widział na ziemi. Widziano zaś na ziemi, że władza każdego kacyka, czyli króla, po za granicami plemienia ustaje, bo u innych plemion wszędzie inny kacyk panuje. Więc, biorąc analogicznie do krainy duchów, nie mógł mi na obczyźnie mój duch opiekuńczy bezwarunkowo udzielać pomocy; tu trzeba było przedewszystkiem za pomocą ofiar skapotać sobie boga, tu panującego. Miał więc Grek sposobność ofiarowania najrozmaitszym bogom. Widziano dalej, że im potężniejszy był patriarchy, czyli kacyk, czyli król, tem większego udzielić mógł bezpieczeństwa zostającym pod jego opieką. Tak samo i w krainie duchów rozróżniano potężniejszych i słabszych. Widziano jednak, że jeden kacyk może wprawdzie drugiego w potędze przewyższyć, ale nie widziano żadnego, któryby sam jeden więcej potrafił działać, niż wszyscy inni razem połączeni. Dlatego nie znano ducha nad duchami, jak długo nie znano na ziemi króla nad królami. Ale nareszcie okazał się przecież taki król królów. Homer opiewał chwałę tego króla, a oto widzimy w Homerze i ducha, który zarówno panuje nad bogami, jak nad śmiertelnikami, który mógłby jednym palcem maleńkim podnieść wraz z Olimpem wszystkich bogów do góry.

A plemiona słowiańskie czy mogły także tak łatwo stykać się ze sobą i poznać się nawzajem, jak plemiona Greckie? Tam, gdzie był wszcz i wzdłuż łąd nieprzerwany, bez końca

i granic, dziewiczym borem pokryty, tam mogły się tylko znać plemiona sąsiedzkie. O dalszych współplemionach dolatywała tylko kiedy niekiedy jakaś głucha wieść niepewna; ba, o wielu plemionach nawet żadnej wieści, żadnej wiadomości, nie miano. Dlatego podanie mówi o trzech tylko braciach: o Lechu, Czechu i Rusie, jak gdyby innych Słowian wcale na świecie nie było. Kiedy więc plemiona słowiańskie nie obcowały ze sobą, to w takim razie jest rzeczą całkiem naturalną, że nie mogły nawzajem i bogów swoich poznać. I dlatego to liczba tych bogów jest za dziwiąco mała. Nie było nawet potrzeby jakimś imieniem własnym tych bogów odróżniać. Tych bowiem kilka imion, które się przechowały, jak: Swatowit, Trigław, Ruginwit etc. nie są to żadne imiona własne, ale tak zwane imiona pospolite (*Gattungsnamen. nomen appellativum*). Od Słowian nad Łabą, (od Połabów do Czech,) była to mała przestrzeń w porównaniu do całej Słowiańszczyzny. A jednak dowiedziona jest rzeczą, że u Czechów nie ma ani śladu o imionach tych bóstw, o których wiemy z nad Łaby; bo co niektórzy żarliwi mitologisci o tych rzeczach baili, to później wszystko się okazało tylko dowolnem zmyśleniem,

Te duchy opiekuńcze stanowiły także o potędze plemienia; t. j. im potężniejszy był duch opiekuńczy, tem potężniejszy był lud pod skrzydłami jego. Było to przekonanie na wskróś wszystkie narody przenikające, o czem świadczą pomniki Babilońskie, Assyryjskie, Egipskie etc. W bitwach mierzyli się zawsze nie ludzie, lecz bogowie, a tu się namacalnie pokazywało, po której stronie stał potężniejszy duch opiekuńczy. I Horacy jeszcze, chociaż wyobrażenia za jego czasów były już całkiem inne, to jednak nie gardzi w poezji dawnymi zapatrywaniem i bitwę pod Akcyum przedstawia jako nierówną walkę szczekającego boga Egipskiego ze zbrojną w Egidę Minerwą. Pod Troją Apollon i Minerwa byli sobie równi, więc pojedynek między Ilektorem i Achillesem byłby został nierozstrzygnięty, a rozstrzygnął się na niekorzyść Ilektora dopiero wtedy, jak go Apollon opuścił.

U nas tak pięknych bajek tego rodzaju nie ma, bo nie było poetów; ale zawsze umie lud i dzisiaj jeszcze o walce duchów sobie opowiadać. I tak, kiedy nadciągają chmury gradowe, wtedy zaczynają po wsiach naokoło dzwonić. Przez to chmury nie mogą ani w przód ani w tył, ani w prawo ani w lewo.